

Mürren

Ten nadzwyczaj piękny krajobraz

*Niewiele zostanie Ryszardzie naprawdę niewiele
z poezji tego szalonego wieku na pewno Rilke Eliot
Zbigniew Herbert, Do Ryszarda Krynickiego - List*

Człowiek z obsługi górskiej kolejki – którego dalej nazywać będę „Motorniczym”, przypominał bowiem kierującego tramwajem – wsiadł, a raczej wskoczył do środka, przesunął wzrokiem po naszej gromadce, bez słowa zatrzasnął drzwi, zaryglował je, po chybotałej podłodze wolno przeszedł do przodu, chuchnął w rękę, przykleił twarz do szyby. Słowo daję, miałem cały czas wrażenie, że wagonik posłuszny jest – ledwo dostrzegalnym – ruchom jego rąk, skinieniom głowy w prawo lub w lewo, słowom mamrotanym pod nosem, i jedzie tam, gdzie on mu każe, nie zważając na ograniczenia, więzy i nakazy narzucone przez linę, przęśla, kolejne przystanki, granie i przelęcze. „Mürren. Stacja dolna. 9.50. Odjazd.” Zadzwoniono, wagonik drgnął, zakotysał się, lina zachrobotowała, zaćwierkała, kolejka ruszyła. Przez chwilę siedziałem uważny i skupiony, starając się dopasować rytm oddechu do skłonów kabiny. Kolejka pięła się teraz ostro w górę, poczułem ciche pulsowanie w skroniach, dawała o sobie znać wysokość. Zrobiło się ciepło, rozpiąłem puchową kurtkę, zdjąłem czapkę i rękawice, odwinąłem się z długiego szalika i przetarłem zaparowane okulary. Szybko i niechętnie spojrzałem w okno – nie lubię gór, mam od dzieciństwa paraliżujący lęk wysokości (siedziałem teraz w środkowym rzędzie, w naiwnym mniemaniu jako tako oddalony od bezdennych przepaści), w dodatku Alpy zawsze były dla mnie jakieś sztuczne, polakierowane, „napastowane” – jak to ktoś niegłupio napisał. Zacząłem przyglądać się sąsiadom. Jeśli los mnie tu ściągnął, jeśli trafiłem w rewiry, których zwyczajnie nie cierpię, w które normalnie bym nie zawędrował, to może chociaż obdarzy mnie krótką, za to intensywną przyjemnością obcowania z ludźmi?

Razem z mrukliwym Motorniczym było nas dziesięcioro, w tym dwie kobiety (jedna bardzo młoda) i kilkunastoletni chłopiec. Jeden z pasażerów siedział na wózku, w tyle wagonu, nie ruszał się i tylko od czasu przymykał prawe oko i opuszczał brew. Był jeszcze pies, którego chłopak trzymał na kolanach. Dziesięć w naszej kulturze jest szczególną liczbą, uznałem to za dobry znak (psa, rzecz jasna, jako przedstawiciel zachodniej kultury nie liczyłem). Niektórzy, jak siedzący naprzeciw mnie młody, wychudzony, gładko wygolony mężczyzna czy starszy jegomość zawinięty w obszerną wełnianą pelerynę, rozparty na dwóch siedzeniach w drugim rzędzie, sprawiali wrażenie żywo zainteresowanych widokami, jakie roztaczały się za nami, przed nami i wkoło nas. Wskazującymi

palcami pokazywali pojawiające się co chwila skalne nawisy i zagładające nam do okien śnieżne czapy, kręcili nieustannie głowami i, gdyby mogli, rozdwoiliby się – na człowieka lewego i prawego lub zamienili w ptaki, o jednym oku patrzącym w tę, a drugim w tamtą stronę. Jegomość mruczał z zadowoleniem, słyszałem go wyraźnie: „tak, to wyjątkowe, niepowtarzalne, wspaniałe”, młodzieniec szeroko otwierał usta, co musiało wyrażać najwyższe uznanie dla zimowego królestwa. Inni, przeciwnie, zdawali się być zupełnie nieciekawi okoliczności przyrody i uroków świata zewnętrznego. Ciemnowłosa kobieta, w kapeluszu na głowie, podwiązanym pod brodą wstążką, siedząca obok mnie, przymknęła oczy i zdawało się, że śpi. Chłopiec nachylony nad psem, szeptał cały czas do jego ucha. Zwierzę podnosiło głowę i patrzyło w oczy swego młodego pana. Z ukosa spojrzałem raz jeszcze na sąsiadkę. Poruszyła się i przeciągnęła. Przypominała teraz kotkę, wygrzewającą się na jednym z paryskich dachów. Ależ menażeria! I cóż to za kapelusz. Przy trzaskającym mrozie w takim nakryciu głowy? Moda zimowej Szwajcarii jest doprawdy zadziwiająca. Poczuliśmy szarpnięcie, wagonik hamował, chwilę jechaliśmy przez gęsty, mroczny las, w końcu wydostaliśmy się na otwartą przestrzeń. „Motorniczy” odwrócił się do nas:

– Któż, gdybym krzyknął, usłyszałby mnie...? Postój, czterdzieści minut. W budce gorąca herbata i mały poczęstunek.

– A to gbur – młodzieniec z naprzeciwka podniósł się, wyprostował, strzelił obcasami. W jego postawie, ruchach było coś wojskowego. – Warto by nauczyć dobrego wychowania tego prostaka. Joachim, do usług, idziemy na tę herbatę? No, ty, wysiadaj już, wysiadaj – pchnął delikatnie chłopca, który utknął w progu wagonu. – Te góry są wysokie. Prawie wszędzie widać granicę drzew, niezwykle ostro zarysowaną: kończą się świerki, a z nimi kończy się wszystko; nie ma już nic, tylko skały, jak widzisz...

Ryszard Lenc, 2013.